№ 1.

Warszawa dnia 25 Grudnia / 6 Stycznia R. 1866



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

WSPOMNIENIA
Z MOICH PODRÓŻY.

(Dokończenie).

Kiedyśmy opuścili wodospad, kierując się ku mostowi łączącemu brzeg Amerykański z wyspą Irys, Klaudyna ciągle zostawała pod wpływem wrażenia, jakiemu nic dorównać nie może, lord Elgin mruczał, doktór uśmiechał się a stary Jakób wzdychał podszeptując:

— „Wybaw nas Panie od jakiego głupstwa.“

— „Cudowny widok! — mówiła miss Dżentel — „tylko ręka natury może w granitowych skałach wykopać tak wielką przepaść i wepchnąć w nią taką massę wody.“

— „Ręka natury nie przeczę“ — odezwał się doktór — „że jest cudowną i zdumiewającą, ale i praca człowieka kierowana silną wolą cudom także daje życie. Weźmy piramidy Egiptu, kanał Suezki, tunel w Alpach...“

— „Wszystko to są drobiazgi doktorze“ — odezwały się obie nasze towarzyszki — „to karły, w obec wielkości stworzonego świata.

— „Prawda, prawda, piękne moje oponentki, ale jeżeli pozwolicie przebiedz szereg prac już dokonanych i zamierzonych na przyszłość, to....“

— „Doktór“ — przerwałem, ma widać na myśli zawiązujące się w Anglji towarzystwo, do przekopania tunelu przez środek ziemi...“ Lord usłyszawszy to wyciągnął szyję jak żuraw, doktór zaś przerwał mi, mówiąc podniesionym głosem:

— „A cóżby to było niepodobnego!

— „Potwierdź wszystko panie Michale i niesprzeciwiaj się szepnął Jakób — „bo z oczów lorda czytam nieuskromioną chęć wystąpienia z jakimś projektem, jeżeli nie utworzenia drugiéj kuli ziemskiéj to przynajmniéj drugiéj Niagary.“

Doktór więc bez przeszkody rozwijał swe dowodzenie, którego mało kto słuchał, a lord podobno najmniéj. Kiedy weszliśmy na most, przewodnik wskazując ręką na pieniącą się pod naszemi stopami rzekę, mówił:

— „Most ten choć drewniany i trzęsie się za każdem silniejszem uderzeniem bałwanów, tak jednak jest wsparty na skałach, że śmiało go konie i powozy przebywają. Pierwszy leżał znacznie wyżéj, ale nie wytrzymał roku i poszedł z wódą w przepaść. Ten wkrótce potem wybudowany prowadzi naprzód do wysepki zwanéj *kąpielową* Bath Island, potem idzie drugi prowadzący prosto na Iris. Po obu stronach mostu, z pomiędzy pieniącéj się rzeki, wyglądają malutkie wysepki okryte niezmiernie bujną i gęstą roślinnością. To są *gniazdka miłości*, tak przezwane dla licznych napisów, jakiemi wszystkie drzewa znajdujące się na nich są okryte. Największa z pomiędzy tych wysepek zowie się Prospect Island i ta łączy się z wyspą Iris oddzielnym mostem.“ Teraz proszę spojrzyć na nurt rzeki rozbijający się z szumem o wystające skały i rafy podwodne. Pęd wody już tu niezmierny, a biada każdemu co nim porwany zostanie. Mieszkańcy tutejsi znają miejsce od którego zaczyna się nagły spadek rzeki i unikają go starannie; po za nim w górę żegluga żadnego nieprzedstawia niebezpieczeństwa. Rzadko to wprawdzie, ale bywają wypadki, że przepływający łódką za nadto zbliżą się do prądu i porwani jego siłą giną w otchłani bez najmniejszego śladu. Straszny to widok, patrzeć na zbliżającą się powolnie ale nieochybnie śmierć do człowieka. Lat piętnaście byłem świadkiem podobnego zdarzenia i nic go nie wygładzi z mojéj pamięci. W łodzi siedział młody jeszcze mężczyzna, właściciel osady po tamtéj stronie rzeki, a przy nim żona z małem dzieckiem, młodziutka kobieta, bo ją znałem jeszcze panną. Zdaleka ich do-

strzegliśmy, a gdy zawołano z trwogą: łódź na prądzie! całe pobrzeże i most zajął tłum ludzi spieszący z ratunkiem dla nieszczęśliwych. Łódź tymczasem z rozpiętym żaglem mknęła jak łabędź, z szybkością jaskółki uwijającéj się za zdobyczą. Przerażony, nie mogąc się oderwać od tego strasznego widoku, patrzę, a ona pomiędzy skałami, wykręca się, uwija, przeskakuje zapory, chwieje, nachyla, w uderzeniu silnem wstrząsa się, wreszcie z coraz szybszym biegiem zdąża ku przepaści. Mężczyzna na chwilę nie tracił przytomności, robił wiosłem ile tylko miał siły pragnąc zbliżyć się do lądu, lub wydobyć na jednę z gniazdek miłości. Kobieta siedziała prawie nieruchomie, z głową nachyloną ku dziecku i z oczami w niego wlepionemi. Czasami tylko ręce z dzieciną podnosiła w górę, jakby błagała litości dla swego niemowlęcia. Lud patrzący tysiące tworzył projektów, radził, sprzeczał się, płakał i wzywał opieki nieba, a łódź tymczasem płynęła z niepowstrzymanym pędem niedającym się pokonać ani siłą wiatru ani wiosłującéj ręki. Zguba więc łodzi była pewną, pobożniejsze nawet usta szeptały modlitwę polecając duszę mających umrzeć, miłosierdziu Przedwiecznego. Nie mogąc znieść tak okropnego widoku, zacząłem się przez tłum przedzierać, kiedy nagle zerwał się wicher tak gwałtowny od Kanady, że wstrząsnął całym mostem jakby chciał go rozerwać w kawałki. Jednocześnie pomiędzy ludźmi podniósł się okrzyk niezwyczajny i wszyscy skupili się ku barjerze w jeden punkt wlepiając oczy. Spojrzałem i ja. Łódź z nieszczęśliwemi parta wichrem zwróciła się nagle ku naszemu brzegowi. Mężczyzna siedzący w niéj poruszył wiosłem, czem pęd biegu łodzi zdwojony, pochylił ją naprzód z tak silnem wstrząśnięciem, że złamał się żagiel. Jednocześnie łódź podniosła się, zadrżała i przechyliwszy się na jedną stronę cały swój ładunek wyrzuciła w wodę. Lud patrzący wydał okrzyk przerażenia, ale jakże zdziwiliśmy się ujrzawszy mężczyznę brnącego na mieliznie pod jedną z wysepek po kolana w wodzie, podtrzymującego kobietę z dzieckiem i pasującego się rozpaczliwie z pędem pragnącéj go porwać fali. Łódź sunęła już ku nam przewrócona dnem do góry, walka rozbitków była straszną, zaledwie znać było że się poruszali. Zdawało się co chwila że pienista fala porwie ich lub zaleje: czasami zasłonięci nią zdawali się ginąć w wodnéj otchłani, aż wreszcie ujrzeliśmy ich wstępujących na jedną z owych wysepek jakby umyślnie dla ratunku tonących usypanych. Kiedy tak cudownie ocalonych sprowadzono na ląd, mężczyzna był blady jak trup i wysiłkiem pracy przy wiośle zupełnie sił pozbawiony Kobieta miała ciągle oczy stojące słupem i tylko po tuleniu dziecka do piersi, znać było że jeszcze żyła.

— „Pyszna okolica!“ — zawołał lord Elgin — „huk piekła przy sprawkach szatana.

— „Jeżeli ci milordzie idzie o huk“ — odezwał się przewodnik — „to tu lepszy znaleść można...“

— „Lepszy? gdzie? zapytał Elgin.

— „W jaskini wiatrów, która jest pod wodospadem. Tam wszystko wre, huczy, kipi, trzeszczy i dmie jak w prawdziwem piekle.

— „Pod wodospadem! — powtórzył lord — „prowadź. Założemy tam osadę.“

— „Zginęliśmy“ — zawołał Jakób posuwając się z rozpaczą za lordem spieszącym przez most za przewodnikiem — „już nas teraz nic nie powstrzyma od zamieszkania w podziemnéj norze jak bobry. Bodajeś oniemiał przeklęty gaduło“.

Do jaskini Wiatrów znajdującéj się rzeczywiście pod wodospadem, prowadziła ścieszka wąska i tak stroma, że bez pomocy sznura przyczepionego do skały, zejście nią było prawie niepodobne. Uderzeni przedstawiającem się niebezpieczeństwem, zatrzymaliśmy się wszyscy na brzegu. Klotylda złożyła rączki błagając ojca żeby się nie narażał, wszyscy wspieraliśmy ją jak mogli, a przewodnik rzekł:

— „Zejście nie jest tu trudne, ale trzeba być śmiałym i pewnym siebie. Przy najmniejszym zawrocie głowy, jeden krok dany niepewnie, najmniejsze zawachanie strąca w przepaść. W przeszłym roku, w przeskoku do jaskini, dwóch podróżnych panów zginęło. Jeden się zachwiał, drugi chciał go ratować i obu śmierć spotkała straszliwa“.

— „Idźmy! — zawołał lord i poprzedzony przewodnikiem zaczął się spuszczać, jednem nawet skinieniem niepożegnawszy rozpaczającéj córki.

— „Doktorze Griben“—odezwałem się wówczas— „zostaniesz z paniami, ja nie opuszczę lorda. Panie zaś nie trwóżcie się daremnie, bo wydeptane przejście i lina uwiązana świadczą, o częstem przechodzeniu téj drogi. Niebezpieczeństwo więc więcéj musi być pozorne jak rzeczywiste. Ufność zatem miss Klaudyno i miss Dżentel“.

— „Idź pan z Bogiem panie Michale i czuwaj nad ojcem“ — odezwała się Klaudyna — „i nad sobą“— dodała potem wznosząc oczy ku niebu.

— „Tylko nie zapomnij pan ganić dziury do któréj się spuszczacie rzekł Jabób — „bo jak w niéj lord zasmakuje, tak gotów sprowadzić architekta i na prawdę urządzić pomieszkanie dla siebie“.

Przejście więcéj było przykre jak niebezpieczne. Trzymając się sznura wisiałem prawie po nad głowami lorda i przewodnika i niezmierną otchłanią, zasłaniany strumieniami spadającéj wody. Przerażenie, pęd wiatru wstrzymywały mi oddech. Zdawało mi się, że skała drży pod memi stopami, że mnie pragnie zrzucić z siebie, ale trzymając się liny szedłem śmiało upatrując tylko miejsca gdzie mam nogę postawić. W tem nagle i lord i przewodnik zniknęli mi z oczów. Drgnąłem i o mało żem liny nie wypuścił z ręki. Zatrzymałem się więc patrząc w przepaść huczącą i pieniącą się, włosy powstały mi na głowie i po całéj skórze przeszło mrowie straszliwe, wstrzymujące nawet bicie serca. Kiedy tak zostaję w okropnéj niepewności o los moich towarzyszy, nie mogąc nawet zebrać myśli co mam daléj z sobą robić, z pod wodospadu wychyliła się głowa przewodnika z oznakami zachęty do dalszego spuszczania się. W parę minut zatrzymałem się wprost niego, uchwyciłem podaną mi rękę, i dawszy dobrego susa znalazłem się obok lorda w jaskini wyżłobionéj w skale, bardzo wąskiéj, zaledwie kilka kroków mającéj głębokości, ale doskonale osłoniętéj z góry pokładem wystającéj skały przez szyderstwo przezwanéj *damskim salonem.* Wrażenia jakiego doznałem zobaczywszy lorda całego i uśmiechniętego, w miejscu tak niezwykłem i uroczem, niepodobna opisać. U stóp naszych piętrzyły się odłamy skał rozmaitéj wielkości: przed oczami

śklnił się olbrzymi strumień spadającéj wody, a cała jaskinia błyszczała tęczowem oświetleniem promieni słonecznych, w mieniącéj się barwie różnych kolorów otaczającem nas jakby cudowną aureolą. Zachwycany, w niemem uniesieniu ściskałem rękę lorda, a kiedym spojrzał w górę i ujrzał Klaudynę i miss Dżentel z Jakóbem, podobne więcéj do drobnych robaczków jak do ludzi, ukorzyłem się przed potęgą Tego, co panuje światu i żywiołom. Panie dawały nam znaki powiewając chustkami a Jakób stał jakby w rozpaczy w głaz przemieniony.

— „Prześliczne! prześliczne! wrzeszczał lord wytężając całą siłę głosu — „jak żyję nic piękniejszego nie widziałem. Szczególnéj ten huk zachwyca mnie. Przy księżycu widok bardziéj musi być uroczy. Zaczekamy bo dziś pełnia, a sposobności takiéj opuszczać niepodobna.“

Usłyszawszy takie postanowienie zwykle nieodwołalne, struchlałem powtórnie jak wówczas kiedy trzymając się liny, straciłem z oczu obu moich towarzyszy. Była bowiem dopiero godzina piąta po południu, księżyca zaledwie za cztery godzin można się było spodziewać, czekać zatem na jego przybycie tyle czasu w jaskini wilgotnéj, przepełnionéj parą wodną, to widok nienajosobliwszy. Desperacko więc założyłem ręce na piersi, przemyślając jakim wykrętem udaremnić postanowienie lorda. Na szczęście znalazło się w jaskini kilka odłamków skały, usiedliśmy więc na nich i kiedy lord zachwycony oglądał się w koło, planując zapewne jakieś zamierzone zmiany i przystrojenia, ja wyrzucałem sobie moją powolność, na prośby pięknéj Klaudyny, która mnie wyrwała z cichego lecz wygodnego kątka i skazała na znoszenie dziwactw splennika, połączone jak obecnie nawet z niebezpieczeństwem. Zły więc, rzekłem zbliżając usta do ucha lorda:

— „To już lepiéj przenocujmy tu, parą wodną będziemy gasić pragnienie, a karmić się odłamkami promieni księżyca, przedzierających się do nas przez tę strumienistą masę wody.

Lord wykrzywił się co zwykle uśmiech oznaczało, pokazując długie białe zęby, a potem kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— „Jeżeli mamy tu nocować“ odezwał się przewodnik objaśniony co do projektu świeżo ukutego— to pójdźmy na Table Rock a z tamtąd spuścimy się aż do samego dna wodospadu.

— „Brawo! wybornie!“ zawołał lord i jak zając w jednéj chwili szusnął przez przepaść na ścieszkę którąśmy przebyli. Skała Table Rock, była okrągła, płaska, wysunięta nad przepaść, tak że stanąwszy na jéj brzegu, można było zajrzyć w otchłań kipiącą wodą jakby w gotującym się kotle. Wprawdzie nerwy tu trzeba mieć jak łańcuchy z żelaza, żeby uchronić głowę od zawrotu, ale za to przypatrzyć się jest czemu. Z niebezpiecznego tego przylądka, ścieszką spuściliśmy się na sam dół i znaleźliśmy się jakby w podwodnym zaczarowanym pałacu. Przemoknięty do nitki i ciągle oblewany pryskającą wodą, nie miałem nawet czasu, zastanawiać się nad cudownością miejsca i niezwyczajnym dla mnie widokiem.

Lord zgubił kapelusz w przeprawie, wicher rozmamrał mu ubranie, a włosy rozwiał poruszając niemi jak chorągiewkami. Kąpiel więc lepiéj mu się jak mnie dała we znaki, a chociaż była bardzo przykrą, bo tylko czasami rzucając na nas strumienie wody, utrzymywała ciało w ciągłem drażnieniu podobnem do odbieranego przy pierwszem zanurzaniu się w zimnéj wodzie, jednak cieszyła mnie niewymownie, bo widziałem jakim lord jest nieprzyjacielem podobnego przysmaku. Niedługo też ruszyliśmy z powrotem. Lord piął się ścieszką coraz w górę i w górę nie oglądając się nawet na nas. Przeszedł nawet jaskinię Wiatrów nie spojrzawszy na nią, a gdy stanął na górze, zmęczony, umaczany jak chustka w praniu, skinął na Jakóba rękę do ust przykładając. Było to żądanie koniaku. Za jednym haustem wlał w gardło potężną dozę, potem strzepnął palcami, wykrzywił się i podając mi flaszkę rzekł:

— „Pij i daj przewodnikowi. Teraz dopiero czuję że żyję. Przeklęta woda i Niagara... a! Klaudyna, moja droga duszo! Miss Dżentel, witam panią... doktór Griben, daj ręki eskulapie. Jakiż rozum pokazałeś, żeś został na górze. Patrz co się z nami dzieje, myślałem że popłynę i rozpłynę się.“

Były to pierwsze słowa wymówione w podobnéj osnowie od chwili wyjazdu z Anglji, dowodzące zupełnego powrotu wszelkiéj przytomności. Witał się potem ze wszystkiemi jakby po bardzo długiem niewidzeniu, a Jakóba nawet uściskał i pocałował w głowę, mówiąc:

— „Poczciwy jesteś, nieopuszczałeś mnie na chwilę. Jak będziesz kiedy umierał, zejdź na dół potoku a orzeźwisz się i na nowo żyć zaczniesz. Woda piekielny to środek, ale skuteczny, a Niagara warta dekoracji.“

— „Milordzie“ odezwał się doktór — „medycyna ceni wodę bardzo wysoko, a nawet w pewnych wypadkach...“

— „Niech piorun trzaśnie waszą medycynę“ przerwał lord wysączając ubranie i włosy z wody — „jak kiedy zwarjuję na medycynę, to wsadzę głowę w strumień spadającéj Niagary a ta wypędzi z niéj wszystkie niedowarzone myśli a najprzód waszą medyczną mrzonkę.“

— „Milordzie“ — odezwałem się — „czybyśmy doświadczenia na doktorze nie zrobili?“

— „Zapomniałeś panie Michale“ — odrzekł z powagą poczciwy doktór — „żem już przeznaczony na inne doświadczenie, zamienienia się w pieczeń na rożnie dzikiego hurona.“

— „Prawda — prawda“ — odrzekłem, a lord rozśmiał się całem gardłem mówiąc:

— „No teraz do domu, bom mokry i głodny, żebym łykał kamienie.

— „To najlepszy symptomat zdrowia, kiedy żołądek upomina się o swoje prawa“ odezwał się doktór.

— „Teraz marsz w drogę! Przebacz miss Dżentel“ — mówił lord, że ci nie służę mojem ramieniem, ale mi żal twoich falbanek i koronek, a szczególniéj krynoliny, którą musiałbym obmoczyć zbyt bliskiém mego paletota sąsiedztwem. Na ten raz przyjmij pomoc doktora, wprawdzie starego kawalera, ale zawsze kawalera. W podróży do Peru wynagrodzę to mimowolne uchybienie.

— „Jakto? zapytała Klaudyna — „więc jedziemy daléj?

— „Jedziemy, a przynajmniéj nie niszczemy powziętego zamiaru. Kiedy zaś to nastąpi, to nara-

dziemy się w domu, po przebraniu się, bo teraz jestem jak w ukropie. Jakóbie daj koniaku.

Wkrótce wesoło, rozmownie, przybyliśmy do hotelu bardzo wygodnie urządzonego, wszyscy szczęśliwi i rozweseleni jak dawno tego niedoświadczaliśmy. Przemysł bowiem otoczył Niagarę nie tylko siecią dróg żelaznych i na grzbiet jéj wtoczył setki statków parowych, ale rozpostarł dla licznego tłumu podróżników, na każdym kroku wszelką wygodę, która zapominać każe o dzikości miejsca przyozdobionego najwspanialszym w świecie widokiem. Dawniéj dziewicze i nieprzebyte lasy rozciągały się w koło, na odsłoniętych polankach tu i owdzie wznosiły się chaty dzikich Indjan zwane *wigwamami*, w nocy zwierz dziki straszył rykiem nie wiele lękając się człowieka. Niagara więc miała tło godne siebie. Dziś siekiera wycięła te odwieczne gąszcze leśne, ogień wyżarł je do korzenia, pług zamienił w rodzajną ziemię, a niezmordowana czynność ludzka nad samemi brzegami prądów, wzniosła ogromne gmachy i fabryki, rozłożone jak miasto, z tulącemi się do nich wiejskiemi małemi domkami. Widok to bardzo cywilizacyjny, ale brak mu owéj dawnéj wspaniałości, jedynie tylko tworzonéj ręką przyrody.

Kąpiel wodna zupełnie lorda uleczyła ze splenniczego usposobienia. Po przebraniu się i obsuszeniu, wpadł w tak wyborny humor, że byłby dla naszego zadowolenia serce pokrajał w kawałki. Myśmy równą obdarzali go wesołością, Jakób tylko jeden spoglądał na lorda niespokojnie, jakby lękał się téj nagłéj w nim przemiany.

— „Widać że jest *fey*“ szepnął mi parę razy, to jest bliski śmierci, tak Anglicy nazywają raptowne przejścia ze smutku np. do wesołości, albo z marnotrawstwa do skąpstwa.

Mimo tego radość Klaudyny nie miała granic, i obdarzana co chwila pieszczotami ojca, obsypywała go czułemi pocałunkami. Kiedy układliśmy się na spoczynek i gwarne życie ludzkie przycichło; czuliśmy drżenie ziemi od wodospadu, szum falującego powietrza, dzwonienie szyb w oknach, skrzypienie futryn, jakby na dworze huczała burza, mająca cały nasz budynek zdruzgotać w kawałki. W pośród snu nagle rozbudzony wyskoczyłem z łóżka i wyjrzałem oknem... sklepienie niebios całe było zasłane migającemi gwiazdami, w powietrzu panował spokój najmniejszym nie mącony wietrzykiem, zdala tylko szumiał i ryczał wodospad. Zdumienie moje nie miało granic, wrażenie zaś wyniesione z widoku Niagary, nie opuści nigdy méj pamięci. Oderwać się od niego bardzo trudno prawie niepodobna.

O podróży do Peru opowiem późniéj.

Kronika zagraniczna.

Zrobiemy dziś małą wycieczkę w dziedzinę sztuki ażeby się rozpatrzeć w niéj cokolwiek, zbadać jéj grunt, poznać warunki genjuszu, talentu, uzdolnienia i wszystkiego tego, czem się sztuka dźwiga i czem sztukmistrze wiekowemi stają się genjuszami. Wielkość mistrzów, nigdy dokładniéj pojąć i zrozumieć się nieda, jeżeli się wprzódy zdrowego nie ma pojęcia o tem, co właśnie mistrza stanowi; nie wystarcza powiedzieć, *że był wielki*, lecz, *dla czego* był wielki. I ten-to wzgląd spowodował i nas także do krótkiego zboczenia w dziedzinę sztuki i artyzmu, zwłaszcza że w następnéj kronice mówić będziemy o trzech mistrzach malarstwa: Michale Aniele, Leonardzie de Vinci i Rafaelu.

Pod *mistrzowstwem* rozumiemy ogólną wszechstronną zdolność do prawdziwéj produkcji w dziełach sztuki, równie jak i energją i popęd w wykonaniu. Mówią zwyczajnie, że mistrzowstwo i talent muszą być człowiekowi wrodzone. I prawda. Włosi np. są śpiewni i melodyjni z przyrodzenia, kiedy natomiast u północnych ludów muzyka i opera, jakkolwiek kształcona, rozwija się przecież tak tylko, jak pomarańczowe drzewa... Grecy wydoskonalili poezją epiczną, a przedewszystkiem w rzeźbiarstwie wygórowali; Rzymianie zaś przeciwnie, nie posiadali prawdziwie samoistnéj sztuki i dopiero z Grecji na swój grunt przenieść ją musieli. Najogólniéj przeto rozszerzona jest poezja, ponieważ najmniéj wpływa na nią materjał zmysłowy, bo też nie ma nic takiego na świecie coby tak jak poezja zrosłe było z życiem ludów. Są np. improwizatorowie, mianowicie we Włoszech, zadziwiającym obdarzeni talentem. Włoch dziś jeszcze wyimprowizuje pięcioaktowy dramat, a wszystko to wypływa z głębokiego natchnienia.

Mistrz, przy takich danych natchnienia i uzdolnienia, powinien posiadać jeszcze łatwość i zręczność techniczną, z samego już względu na rozmaitość pojedynczych gałęzi sztuki. Mówią tak często, że poetę krępuje rym i miara wiersza, że malarz znachodzi trudności w rysunku, znajomości farb, cienia i światła. Bez wątpienia; we wszystkich kunsztach potrzebna jest praca, obeznanie się, pilność i wielostronnnie wykształcona zręczność. Ale im większy i silniejszy genjusz, tem mniéj wie o trudnościach, bo prawdziwy mistrz ma już wrodzony popęd i skłonność do przeobrażania w postacie wszystkiego cokolwiek w swem uczuciu znajdzie. Naturalnie, sposób takiego przedstawienia pomysłów, nosi zwykle na sobie cechę jego *własnego* uczucia i natchnienia. Muzyk może tylko w melodji to wydać, co go głębiéj porusza, i cokolwiek czuje zamienia mu się bezpośrednio w melodją, jak malarzowi w postać i farbę, wieszczowi w poezją. Cokolwiek żyje w wyobraźni mistrza, zamienia mu się w postać tak samo, jak nam myśl każda do ust się ciśnie, albo jak nasze najgłębsze myśli, wyobrażenia i uczucia sami na sobie w postawie i poruszeniach okazujemy. Co na dnie myśli, serca i natchnienia spoczywa, powinien mistrz umieć uwydatnić jak najwierniéj i prawdziwiéj; rozumie się samo przez się, że możność wiernego i dokładnego wykonania musi posiadać również w darze od natury, gdyż samą pilnością nabyta wprawa nigdy życia nie nada dziełu. Obie te strony, natchnienie i wykonanie, trzymają się zawsze za ręce — i to stanowi charakterystyczne znamie *mistrza*.

Tu jeszcze słów kilka o *natchnieniu*. O natchnienie różne są wyobrażenia. Ponieważ genjusz z duchem i naturą ściśle się kojarzy, mniemano przeto, że natchnienie jest *zmysłowym* wypływem. Tymczasem krew rozgrzana nie jest ku temu dostateczna. Szampan nie wydaje poezji. Również choćby najlepszy genjusz często o rannéj i wieczornéj porze, przy powiewie świeżego powietrza pokładał się w trawie

zielonéj i ku niebu patrzał, nie poczuje on jednak natchnienia... Tak samo nie można natchnienia nazywać wyłącznie duchowym wypływem. Kto chce koniecznie zostać natchnionym i dopiero tu i owdzie pomysłu i popędu szuka, ten mimo uzdolnienia, nic dobrego do skutku nie przywiedzie. Możnaby tutaj podać pytanie, jaką treścią ma się przejąć mistrz każdy, ażeby je przenieść w natchnienie? I pod tym względem różne są zdania. Utrzymują, że mistrz sam z siebie treść wydobyć powinien. Być może; jeśli poeta śpiewa jak ptaszek, co w gaikach mieszka, wtedy-to własna swoboda jest mu pobudką do śpiewania, choćby tylko ku własnemu swemu uradowaniu. Powody atoli do twórczości mogą także z zewnątrz nadejść — pierwsza lepsza sposobność nadarzyć je może mistrzowi. I cóż wtenczas? Owóż mistrz prawdziwy zdoła je zawsze uchwycić z prawdziwem zajęciem i ożywić je swem sercem, duszą, wyobraźnią. Wtedy też i natchnienie przyjdzie samo z siebie.

Z połączenia się natchnienia z mistrzowskiem wykonaniem powstaje *oryginalność*. Zanim atoli do niéj przystąpimy, powiemy nieco o *manjerze* i *stylu* w sztuce, jako dwóch odcieniach oryginalności. Manjera a oryginalność, to ogromne różnice; manjera dotyka tylko *cząstkowych* (pojedynczych) właściwości mistrza — jestto wyłącznie właściwy artyście rodzaj pochwycania i wykonania utworu; nieraz jednakże z prawdziwem pojęciem ideału w zupełnéj stawa sprzeczności, i manjera taka niema żadnéj artystycznéj wartości. Manjera w dobrem znaczeniu tego wyrazu, znachodzi się najczęściéj w malarstwie i muzyce, bo one szerokie zostawują pole do najrozmaitszych właściwości. Ton powietrza, kształt drzewa, rozdzielanie cienia i światła, cały w ogóle koloryt, dopuszcza nieskończonych rozmaitości; tak samo rozmaitemi są przedmiota, ich grupowanie, postawa, poruszenie, charakter i t. p. Mistrzowi wystrzegać się tu należy przedewszystkiem, ażeby manjera nie stała się czasem drugą naturą jego; w takim bowiem razie popadłaby jego sztuka w rzemieślniczą zręczność i czczość obumarłą. Dobra manjera nie wychodzi nigdy poza kres artyzmu; jest w tem coś podobnego do zwrotu konwersacji, która, aby nie zachodzić daléj w niemiłą materją, wstrzymaną i uciętą bywa.

Inna rzecz jest *styl* w sztuce. Styl odnosi się przeważnie do zasad artystycznego przedstawienia. Pod tym względem rozróżniamy np. w muzyce styl kościelny od stylu opery, w malartwie historyczny od rodzajowego. Brak stylu dowodzi tylko niezręczności lub swawoli, która zamiast trzymać się zasad, popuszcza wodze własnemu upodobaniu i urojeniu, przedzierzgając się w jaknajgorętszą manjerność.

Owóż na mistrzowskiem zlaniu się zdrowéj manjerności i stylu polega prawdziwa oryginalność. Przedewszystkiem odróżnić należy oryginalność od swawolnych dziwactw i urojeń. Czysta oryginalność usuwa wszelką swawolę od siebie, a prawdziwe dzieło sztuki wyzwala się z tąk krzywéj oryginalności. Jest ona płodem ducha, który nic z zewnątrz nie łata, ale całość w ścisłym związku, jednym wylewem, jednym tonem sam z siebie wydaje, tak jak ją spowił na dnie swéj duszy w szczęśliwéj chwili natchnienia.

Tyle o mistrzowstwie. W następnéj Kronice powiemy, co Charles Clément mówi w swem dziele o trzech mistrzach malarstwa: o Michale Aniele, Leonardzie de Vinci i Rafaelu.

August Jeske.

Pogadanka Tygodniowa.

W pierwszym noworocznym numerze wypadłoby może przemówić lekko i zgrabnie, jak młody światowiec wprowadzony raz pierwszy do salonu i pragnący w nim jak najkorzystniéj się przedstawić. Na tle najczęściéj zawodnych życzeń, rzucone myśli i pragnienia, powinnyby się barwić kolorami tęczy i w gazowych obsłonkach pobłyskiwać jak gwiazdki rozsypane na niebieskim lazurze, lub pyłki śnieżne migoczące promykami słońca. Harmonijnym słów szykiem, przypomnieć letni szmer strumyka, trzepotanie skrzydeł motylich i świegolenie ptaszęcéj rzeszy, uganiającéj się za brzęczącą muszką w pośród woni łąk kwiecistych, pól odzianych zbożem i zielonych lasów. Niechby w tych malowanych piórem obrazkach, ozwał się czasem dzwonek wiejskiego kościołka, brzęk kuligowych sani, albo gwar myśliwskiéj ochoty, a zadowolony sam z siebie, wdarłbym się aż do serc Waszych, po życzliwe słówko zachęty i pochwały. Ale natchnienie koniecznym tu warunkiem: szukając go ruszyłem na miasto, popatrzyć, podsłuchać i podumać.

Na moście pełno-ruwijało się osób. Trajkotały wozy i powozy, a Wisła okryta taflami lodu, w majestatycznéj powadzę, płynęła szemrząc śnieżną falą, jak człowiek we śnie mamroczący. Oparty o barjerę popatrzyłem, myślą i okiem przerzuciłem po gromadzie statków zimujących przy obu brzegach, po Saskiéj kępie, dalekich lasach i polach i nasłuchawszy gwaru od miasta płynącego, ruszyłem dalej na włóczęgę redaktorską. W teatrze amatorskim na korzyść Towarzy-

stwa Dobroczynności do kassy po kupno biletu już się nie mogłem docisnąć. Wiem że udał się najzupełniéj i że szlachetna ta rozrywka pięknym groszem zasiliła szczupłe fundusze Instytucji.

Przy oglądaniu widoków pana Bordatto, żałowałem niezmiernie że widziałem tyle kościołów, ołtarzy, chrzcielnic a za bilet zapłaciłem pół rubla, gdy za połowę téj ceny zabawić się mogę w teatrze, na przedstawieniu pierwszorzędnéj opery, za współudziałem doborowych artystów, licznéj orkiestry, kosztownéj wystawy i sutego oświetlenia.

Zostawiwszy na boku magiczne czarodziejstwa, i otoczone licznym tłumem od rana kassy obu teatrów zaszedłem do Saskiego ogrodu. Przechadzających się nadspodziewanie zastałem dosyć, zupełnie jak w pierwszy dzień wiosennéj pogody. Przyglądano się kamiennym posągom sprzeczając się o ich znaczenie, żałowano opustoszałych grzęd kwiatowych, rozpatrywano się w kompasie i śledzono wrony i kawki uwijające się po rozłożystych gałęziach kasztanów. Nie brakowało także i podrosłéj już dziatwy, skaczącéj; weselącéj się i uganiającéj w podskokach i uprzęży rześkich rumaków. Piątka tak zaimprowizowanych pegazów, wybryzgując jak źrebaczki, z potrzaskiem biczyka, zatupotała tuż przy mnie, i poznawszy otoczyła wianuszkiem rumianych buziaczków.

— „Jak się macie chłopaczki?" — zapytałem — „cóż biegacie, bawicie się a czy grzecznie i bez sprzeczki?

— „Bawiemy się proszę pana w konie" — odezwał się jeden trzymający lejce w ręku — ale Staś nigdy nie chce być koniem, tylko panem, bo powiada że jak tylko urośnie, zaraz sobie kupi powóz i będzie nim jeździć po Krakowskiem Przedmieściu".

— „Prześliczne projekta" — odrzekłem — „ale zkądże weźmiesz na kupno powozu, który drogo kosztuje.

— „Albo to tata z mamą nie mają pieniędzy" — odrzekł Staś z pewną dumą.

— „To prawda, mój Stasiu, ale jednak musisz być czemsić na świecie....

— „Ja też będę panem" — odrzekł chłopczyna— „daléj Ignasiu zajeżdżaj a ostro po kawalersku!

Zaimprowizowane rumaki parsknęły, zatupotały i jak wiatr pobiegły w głąb ogrodu niby wioząc przyszłego magnata.

Rozważając odpowiedź chłopczyka, dobre zamiary pochwalić musiałem, chociaż nie każdy umie być prawdziwym panem, owym świecznikiem społeczności. U nas w powszechnem pojęciu, szczególniéj między klasą najliczniejszą z dołu patrzącą do góry, być panem, znaczy nic nie robić, tylko bawić się, szastać pieniędzmy, ujeżdżać konie, rozbijać powozy, rozpościerać się w loży, pukać szampanem, podróżować, polować, zajadać smakowite kąski i z dumą podnosić głowę nad drugich. O pracy nie ma tu mowy, dla tego w takiéj atmosferze pojęć rosnące dzieciny, od niemowlęctwa nabierając spaczonych wyobrażeń, wszelkie zajęcie uważają za poniżające i dążą jedynie do owego tak upragnionego państwa uosobionego szczęścia na ziemi. Ztąd to pozór biorąc za rzeczywistość, pragnąc choć chwilkę życia wybranych, tworzą się marnotrawcy, utracjusze, próżniacy, pasożyty i przyszli oszuści i szulerzy. Jest to wielkie nieszczęście, złe chroniczne na które jeszcze czasami zapadamy, lekarstwem zaś wpajanie w dzieci od niemowlęctwa szacunku dla pracy i podwyższania jéj znaczenia nad wszystkie dziedziczne majątki i godności. Jeden z bogatych ojców, tak rzekł do syna przy zapisie do Szkoły głównéj.

— „Wiesz że majątek mam, ale nie wiesz żem go odebrał zniszczony i obdłużony. Pracą i ukształceniem się w zawodzie agronoma kosztującemi mnie sześć lat ciężkiego trudu i mozołu, uwolniłem go z długów i postawiłem na równi z najlepszemi gospodarstwami zagranicznemi. Dorobek ten własnéj pracy, zrobił mnie panem, a kraj ubogacił kawałkiem ziemi dobrze procentującéj. Gdyby wszyscy tak zrobili, ogólnem bogactwem zrównalibyśmy się obcym i roślibyśmy w miłość pracy i nauki, będących matkami prawdziwego szczęścia. Ukształcenie zaś moje było nie tuzinkowe, nie dla zamydlenia oczów, praktyką gospodarczą kończącą się na zbijaniu bąków, fuzyjce i koniku, ale gruntownem w ten sposób dopełnionem, że nie mogąc być dziedzicem, umiałbym być dobrym i poszukiwanym rządcą i zawsze miałbym chleba po uszy robiąc to drugim co sobie zrobiłem. Ty ukończywszy szkoły, masz obrać stan, nadający dopiero imie prawdziwego obywatela kraju. Ukształć się więc tak, jakbyś w nim jedynie szukał chleba nie myśląc nawet o majątku jaki kiedy odziedziczysz. To drogą stawszy się praktycznym, w ogólnym poglądzie poznasz wszystkie tamy, zawady i przeszkody utrudzające rozwój społeczny w kierunku przez ciebie obranym, a nieprzymuszony do koniecznego zarobku, będziesz mógł myśleć z całą swobodą o poprawieniu złego i wynalezieniu do tego stosownych środków. Żyjesz w społeczności, zajmujesz miejsce jesz, pijesz, oddychasz, korzystasz z opieki i praw krajowych, winien więc jesteś zapłatę ziemi, która cię tem wszystkiem obdarza. Zapłatą tą może być tylko rozumna i pożyteczna praca, od któréj nikt uwalniać się nie ma prawa. Ofiara cząstki mienia lub dochodów z odziedziczonéj własności, jest tylko prostem przekładaniem z jednéj kieszeni do drugiéj, ty zaś zapłatę winieneś wydobyć z własnéj pracy, czyli dać to społeczności, czego nie ma jeszcze, co ma powstać dopiero z twoich starań, mozołu i wysnuć się jak nitka pajęcza w oprzędzie jedwabnika. Tą drogą rozwija się wszelki postęp, bo każdy staje się górnikiem składającym bryłkę złota do ogólnéj skarbnicy pomyślności. Jeżeli zostaniesz takim górnikiem, czeka cię błogosławieństwo Boże, dziękczynienie ludzkie i szczęście własne o jakiem dziś nie masz jeszcze wyobrażenia. W przeciwnym razie, otoczy cię przekleństwo wszystkich a naprzód ojca..."

Mówiący umilkł, zadrgały mu wargi i machnął ręką — syn rzucił się ojcu na szyję i tuląc głowę do piersi zawołał z przejęciem:

— „O! nie najzacniejszy ojcze, patrząc na twój żywot, słuchając rad twoich czyż mógłbym zostać nicponiem i trutniem społecznym?"

Oby takich ojców i synów było jak najwięcéj i tego Wam życzę w pierwszéj méj w tym roku pogadance.

O UBIORACH

Pobecna pora głównie przeznaczona zawieraniu związków małżeńskich, zniewala nas do oddania pierwszeństwa opisowi ślubnych ubrań, otoczonych jedną troskliwością czy w pałacu, czy w dworze wiejskim, czy w ubogiéj chacie. W dniu tak ważnym, stanowiącym granicę między światem młodzieńczych marzeń, a poważnemi myślami przyszłéj obywatelki, chęć przedstawienia się jak najkorzystniéj, nie tylko zaletami duszy, ale i powierzchowności czyż jest rzeczą zdrożną i naganną? Służemy więc Czytelniczkom naszym przeglądem magazynów Warszawskich obficie zaopatrzonych w przybory ślubnéj toalety, lekkiéj, przejrzystéj i zasypanéj kwiatami jako symbol spodziewanego szczęścia.

Do najstrojniejszych sukien znajdujących się w magazynie panien Kuhnke należały: morowa, atłasowa i *poult de soie*. Pierwsza z nich gładka, powłóczysta obszyta u dołu grubym sznurem jedwabnym, stanik miała gładki zapięty pod szyję na szmuklerskie guziki. Rękawy paltotowe przybrane koronką kluni. Z takiéj saméj koronki zrobiony był kołnierzyk z długo spadającemi końcami na przodzie.

Druga suknia atłasowa biala ozdobiona była długą tuniką illuzjową, przepiętą w odstępach na około wstążką atłasową i bukiecikami z mirty. Stanik wycięty, objęty w stanie paskiem atłasowym rękawy miał krótkie; do tego należał kanzucik z illuzji, ułożony z bufek przepiętych gałązkami mirty i konwalji i takież same długie rękawy illuzjowe.

Trzecia suknia jedwabna obszyta u dołu grubym sznurem jedwabnym, stanik miała gładki zapięty na guziki z perłowéj konchy. Rękawy przybrane na ramionach i u ręki również sznurem. Pasek z klamrą perłową dopełniał całości.

Nadmienić tu musiemy że wszystkie suknie czy to jedwabne lub lekkie z tarlatanu krepy i innych wyrobów, krajane są w kliny, aby w biodrach suknia była płaska. i stopniowo poszerzona u dołu.

Mniéj kosztowna a jednak bardzo ładna suknia ślubna z białego tarlatanu, nad szerokim obrębem miała naszyte dwie rusze fałdowane, na to spadała skośna tunika, która formowała w połączeniu ze stanikiem paletocik zupełnie przystający do figury. Stanik gładki zrobiony pod szyję na wyciętéj podszewce, garnirowany był także tarlatanową szczoteczką, jak również rękawy wązkie paltotowe ścięte do łokcia.

Jako dopełnienie stroju ślubnego przygotowano do tych sukien wielkie woale z illuzji i wianeczki mirtowe pomięszane z konwalją i kwiatem pomarańczowym.

Opiszemy także parę sukien, należących do wyprawy, a odrobionych z prawdziwie dobrym gustem.

Suknia jedwabna jasno seledynowa krajana w kliny stanik miała wycięty, gładki, garnirowany w ząb wstawką i koronką kluni. Od paska z materji sukni spadały z tyłu trzy szarfy przytwierdzone trzema rozetami z białą wypustką. Miejsce kanzuta na mniéj strojne ubranie, zastępował krótki kaftaniczek z epoletem bez rękawów oszyty koronką kluni. Rękawy do stanika wszywały się do woli, białe tiulowe albo jedwabne.

Suknia szafirowa jedwabna w paski czarne, stanik miała gładki zapinany na guziki jedwabne szafirowe w kształcie trefli. Za całą ozdobę dodany był kaftaniczek koronkowy *Figaro* zaokrąglony z przodu bez rękawów.

Dla młodych osób najwięcéj widzieliśmy sukien tarlatanowych robionych z tunikami lub garnirowanych u dołu bufkami albo ruszą. Materjały te pochodziły z magazynu pana Penkali, który będąc bardzo obficie zaopatrzony dozwala z łatwością wybór zrobić najwybredniejszemu gustowi.

Tarlatan w rozmaitych kolorach w kółka czarne aksamitne, 3 łokcie szeroki kosztował po kop. 90.

Tarlatan w rzucik kolorowy przerabiany srebrem lub złotem po kop. 75 łokieć.

Tarlatan w rzucik kolorowy bez srebra po kop. 50.

Zalecamy też bardzo sztuczki tarlatanowe białe ze szlakiem pasowanym kolorowym kosztujące po rs. 7 kop. 50 a gustowne i niepotrzebujące kosztownych garnirunków. Tę samą zaletę mają suknie białe tarlatanowe naszywane kolorową krepą lub tarlatanem i czarną koroneczką, nierownie strojniejsze od wyżéj opisanych po rs. 15.

Zasługuje także na uwagę śliczny wyrób *fil de chèvre* gładki we wszystkich kolorach po rs. 1 kop. 20 i rs. 1 kop. 35, szeroki $5^1/_2$ ćwierci.

W tymże magazynie oglądaliśmy śliczne mory na suknie od 80 do 100 rs. za sztuczkę; materje w guście dawniejszego *Satin turque* łokieć po rs. 3 k. 60; materje mienione w kolorze brązowym i czarnym, szafirowym i czarnym i t. d.. po rs. 1 kop. 50 łokieć.

Materje czarne w paski atlasowe po rs. 1 k. $57^1/_2$.

Materje na białem tle w krateczkę drobną kolorową po rs. 1 kop. 50.

Materje w kratkę drobną lub paseczki w lekkim gatunku nie trzymające na szerokość całego łokcia po rs. 1 kop. 20.

W okrywkach do teatru pojawiła się nowość. Są to obszerne paletociki watowane z rękawami i kapturkiem, obszyte puszkiem łabędzim lub frendzlą angorową. Paletociki spinają się tylko pod szyję, kapturek zarzuca się na głowę, a rękawy nie włożone na ręce spadają wolno po bokach. W miejsce kapturka jeśli go niema u okrywki niektóre panie obwijają lekko głowę czarnym koronkowym szalikiem, który także okręca się koło szyi. Zabezpieczenie takie głowy od zimna, wystarcza tylko do powozu i to przy łagodnym klimacie.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia zielona *poult de soie* gładka, udołu na każdym brycie odpasowany bukiet. Stanik gładki spięty z przodu na szmuklerskie guziki. Rękawy obcisłe, epolet i mankiet z pasmanteryi. Kołnierzyk gładki batystowy, takiż mankiet na spód. Szal turecki do zarzucenia. Spódniczka biała, z rurkowaną falbanką.

Figura 2. Suknia jedwabna fijołkowa z dwiema spódniczkami. Jedna znich ubrana pasmanterją, druga podpięta sznurem z kwastami. Stanik z okrągłą baskiną, spięty na guziki szmuklerskie, przybrany festonami ze sznurów. Baskina obszyta pasmanterją. Kołnierzyk batystowy w ząbki. Kapelusz fijołkowy, podpięty biało, z długim woalem z illuzji.

Ubranie dziecka. Sukienka popelinowa w kraty. Zamiast stanika obcisły paletocik przepasany czarnym paskiem, objęty grelotkami z wełny. Dół spódniczki naszyty w zęby aksamitką. Kapelusik okrągły aksamitny z pąsowem piórkiem. Włosy ujęte w siatkę przewiązaną aksamitką ze spadającemi na wierzch końcami. Buciki węgierskie kozłowe, rękawiczki duńskie.

PRZEPIS KUCHENNY.

Chrust.

Jaj całych 4, żółtek 4, cukru tłuczonego filiżankę, migdałów słodkich filiżankę utłuczonych na miazgę i kilka gorzkich dla zapachu, to wszystko utrzeć w misce aż zbieleje. Potem dodając mąki zagnieść ciasto dosyć gęste, rozwałkować do grubości noża pokrajać wpasy szerokie na dwa palce i niezbyt długie, wkładać do wrzącéj tłustości, w szerokim rondlu dobrze pobielanym, a skoro nabiorą złotawego koloru, składać na półmisek. M. J.

KORRESPONDENCJA.

Pani P. Arci. Do koperty pocztowéj próbek materji nie wolno wkładać. — Pani N. Por. Dwa paletoty o jakie się listownie zapytywano kosztować będą z przesyłką 58 rs. Szal francuzki w lepszym gatunku od 50 do 80 rs. Pani H. Baranow. w Pro. Żądane numera Tygodnika możemy dostarczyć, oprócz całego kompletu z roku 1860, które już wszystkie wyczerpnięte. Cała przesyłka Tygodnika kosztować będzie rs. 4. — Pani Kazi. Bo. Za 9 rs. może być kapelusz z opakowaniem i opłatą pocztową. Ubrania na głowę dostanie od rs. 3 do 8.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)

Dodatek do Nr. 1 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 25 *Grudnia* / 6 *Stycznia* *1866 r.*

GABRJELA

SZKIC OBYCZAJOWY

oryginalnie napisany.

(Dalszy ciąg.)

Zdawało jéj się, że ją stróż Anioł opuścił w téj chwili; myśli zostały same, bez przewodnika, bez nadziei; nawet anielska pieśń w nieskalanym przybytku jéj serca zagasła; widma przerażające omotały jéj duszę.

Nawet to łagodne tchnienie poranka wiosennego, które tak często pełną piła piersią, wydało jéj się teraz lodowym, podmogilnym powiewem.

Teresa weszła do pokoju.

Z dreszczem nieopisanéj trwogi powstała Gabrjela i podała jéj milcząca obie ręce.

Teresa spojrzała na nią z wyrazem głębokiego bólu.

— Uspokój się, moja najdroższa — rzekła Teresa siadając obok Gabrjeli; słuchaj mnie z spokojem. Mam ciężkie zeznanie przed tobą — jestem grzesznicą, moja to wina, że twoje dotychczasowe życie było strasznem złudzeniem. Słuchaj mnie — a potem daj twój sąd, wzgardź mną, odepchnij od siebie, tylko nie powątpiewaj o mojem sercu, o mojéj gorącéj miłości dla ciebie i nie rób wyrzutów ojcu, jeżeli się przyczynił poniekąd do mojéj winy—on, ten wielkoduszny mąż, on cię kochał nad życie i czynił co mógł dla ciebie! Nie podejrzywaj także i opiekuna twego, Wereżyńskiego.

Gabrjela objęła obiema rękami siedzącą obok Teresę i przyciskając ją do siebie zawołała:

— Ktokolwiek jesteś i coś uczyniła i cokolwiek mi zeznać zamierzasz — nigdy już, nigdy nie puszczę cię od siebie. A ojciec? on nic złego zrobić nie mógł! Błogosławiona, stokroć błogosławiona jego pamięć. Przebaczam wszystkim, którzy kiedykolwiek mogli mieć udział w téj ciężkiéj godzinie mego życia! Mów, czuję się na siłach!

Teresa zdołała się zaledwie powściągnąć.

Wreszcie złożyła ręce na sercu, spojrzała ku Niebu i odezwała się spokojnym na pozór głosem:

— Należy mi przenieść się w odległą przeszłość— z któréj oprócz wspomnień nic mi nie pozostało, gdyż z wszystkich tych co mnie otaczali, nikt już nie żyje. Powiem kilka słów o moich dziecinnych latach. O, to były szczęśliwe chwile! Wiesz już, że jestem córką nauczyciela. Z kilkorga dzieci pozostałam się tylko sama. Dwóch braci umarło przed mojem urodzeniem; trzeci brat Józef, najstarszy z rodzeństwa, nadzieja nas wszystkich, już się był znajdował na uniwersytecie, kiedy nas dnia jednego doszła straszliwa wiadomość, że utonął przy jakiejś zabawie, skutkiem nieostrożności swych kolegów. Byłam wtedy małą dziewczynką, lecz dziś jeszcze stoi mi przed oczyma rozpacz rodziców nad utratą jedynéj pociechy. Dwie siostry uległy szkarlatynie, a i mnie złożyła ta choroba na łoże, lecz cudem prawie uszłam z niebezpieczeństwa niechybnéj śmierci. Lata te w których dziecko przychodzi powoli do samowiedzy i przeświadczenia o sobie, spłynęły mi słodko i uroczo. W małym świateczku skromnego pożycia na łonie rodziców, w domku stawionym w najpiękniejszéj stronie miasteczka rodzinnego, byłam z pośród dziatwy ulubieńcem wszystkich. Powoli też zabliźniła się rana rodziców po utracie syna. Pociecha, jaką wlewa religja w serca wiernych, oraz dobroczynny wpływ czasu, zacierającego niepostrzeżenie najcięższe rany, wreszcie miłość dla jednego dziecka— wszystko to musiało z czasem ukrzepić rodziców.

Dali mi, co mieli najlepszego: sumienne wychowanie i wzorowe wykształcenie, o ile to w ogóle było możliwem dla niezamożnych ludzi. Biedny ojciec niedoczekał się mojéj pierwszéj spowiedzi. Bóg powołał go do siebie na rok przedtem. Umierając błogosławił i matce i mnie i poruczył nas pieczy niebios. W ostatniem jego spojrzeniu widać było promień słodkiéj nadziei, że Bóg wysłuchał jego prośby. Matka pobierała małą pensją: resztę utrzymania stanowiły mozolne lekcje, które matka udzielała małym dziewczętom. W końcu i ja jéj dopomogłam, dając lekcje w początkowych naukach, w rysunkach i muzyce. Po trzech latach tego sieroctwa, odumarła mnie matka; miałam wtenczas siedmnaście lat. Wkrótce atoli nadarzyło mi się miejsce domowéj nauczycielki w zamożnym domu. Matka tych dzieci, których nauczycielką miałam zostać niebawem, była wdową od kilku lat, i jednocześnie z mojem przybyciem przeniosła się z całą rodziną do zacisza znajdującego się o kilka mil od miasta, w którem pierwotnie dla wykształcenia dzieci była mieszkała. Najstarszy syn kończył właśnie studja uniwersyteckie. Trzy córki żyły przy matce. W kółku tem żyłam jak w domu. Nie dano mi uczuć w niczem mego sieroctwa. Z méj strony, czyniłam wszystko, ażeby się okazać godną prawdziwie rodzicielskich względów pani Orzeckiéj; starałam się być sumienną w pracy i obowiązkach, uczennice moje pokochałam jak własne rodzeństwo a w obec pani starałam się być wyrozumiałą na wszystko. Około Bożego Narodzenia odwidził panią

Orzęcką najstarszy syn, Karol. Radość w domu była nie do opisania. Karol powracał z egzaminu chlubnie ukończonego i otwierającego mu pole do dalszéj karjery publicznéj. Pani Orzęcka powitała go z radością, na jaką tylko serce kochającéj matki zdobyć się mogło; tak samo został przyjętym przez siostry— i w rzeczy saméj zasługiwał na to pod każdym względem. Bo jakżeż nie być dumnym z syna który pomimo ponęt, na jakie go zamożność i pieszczoty rodziców narażały, umiał uiścić się z obowiązków, jakie nań wkładało przyszłe stanowisko? Karol mógł słusznie uchodzić za wzór młodzieży. Sama powierzchowność jego zająć musiała każdego. Był wysokiego kształtnego wzrostu, a w szlachetnych rysach twarzy przebijała się męzka powaga. Po pierwszych radosnych powitaniach matki i rodzeństwa przedstawiono i mnie Karolowi. Powitał mnie z życzliwością i ugrzecznieniem młodego człowieka, zdolnego ocenić w ludziach niższych od siebie rodem i majątkiem ich stan i pracę. Jakieś dziwne niepojęte uczucie nieśmiałości i zakłopotanie owładnęło mną w chwili kiedy mówił do mnie. Czułam, że mi serce mocno biło i krew do twarzy się cisnęła. Spuściłam oczy, nieśmiejąc spojrzeć na niego. Uczucie to powiększyło się jeszcze, kiedym spostrzegła, że silny głos jego zadrżał z lekka na wspomnienie o mojem sieroctwie. Starałam się przez cały ten dzień unikać go najzupełniéj. Wieczorem, przy herbacie zbliżył się do mnie i wciągnąwszy do ogólnéj rozmowy obszerną zawiązał pogadankę, przechodząc z kolei wszystkie przedmiota nauk i sztuk pięknych, nawiązywał jednem słowem tak zręcznie wątek rozmowy, że bez najmniejszego zakłopotania mogłam brać udział w całéj téj gawędce. Wieczory takie powtarzały się niemal co dzień, przez cały czas jego pobytu w naszym dworku. Żegnając się z nami, zwrócił się przed samym odjazdem do matki; ujął ją za rękę i rzekł: „matko, znalazłaś w téj pani prawdziwą perłę, szczęście to dla naszego rodzeństwa, żeś ją wybrała za nauczycielkę i przyjaciółkę dla moich sióstr!“ Pani Orzęcka uśmiechnęła się potakująco; co do mnie, zdawało mi się, że spłonę ze wstydu i zakłopotania. Nie czekając na odjazd Karola, pobiegłam do mego pokoju i upadłszy na kolana prosiłam Boga o siły przeciw uczuciom, jakie mną w téj chwili miotały. Pierwszą moją myślą po téj modlitwie było opuścić miły dworek, w którym tyle dobrego doznałam, ażeby uniknąć strasznéj walki z przekonaniem — lecz, cóż za powody miałam podać pani Orzęckiéj? Właściwych przyczyn w żaden sposób wyjawić nie mogłam, nic w świecie nie byłoby mnie do tego skłoniło. Czekałam więc na odpowiednią sposobność. Tymczasem odwiedziny Karola powtarzały się coraz częściéj; i im częściéj przyjeżdżał, tem dotkliwiéj uczuwałam ciężar więzów, krępujących moje przekonanie wewnętrzne o niemożliwości przebywania nadal w tym domu. Im bardziéj Karol podczas pobytu u matki szukał sposobności zbliżenia się do mnie, im częściéj zwracał uwagę na mnie, tem bardziéj jeszcze unikałam jego obecności i wszelkich w ogóle objawów jego ugrzecznienia. Przybrałam nawet zimny obojętny wyraz twarzy,—w obejściu starałam się być odpychającą— ale za to serce moje bolało dotkliwie, mianowicie kiedym spostrzegła, że i on bolał. Na domiar mego nieszczęścia, matka Karola otaczała mnie troskliwością i zaufaniem bez granic. Zdawało mi się, że nie zniosę tego położenia. Czułam się niegodną, powinnam była wyznać wszystko, a przecież sił mi zabrakło, słowa gasły na ustach. Postanowiłam wyznać wszystko listownie i poprosić zarazem o zwolnienie mnie od obowiązków—napisałam kilka listów — lecz żaden nie doczekał swego przeznaczenia — spaliłam wszystkie! Od niejakiego czasu powoływała mnie pani Orzęcka do siebie, zasięgając moich rad i wskazówek w sprawach dotyczących nieraz jéj własnéj rodziny. Zwierzyła mi się pomiędzy innemi, że kuzynostwo jéj z dalekiéj linji życzyło sobie połączyć związkami małżeńskiemi swą córkę z Karolem. Połączenie to, mniemała pani Orzęcka, mogłoby wypaść na korzyść i szczęście syna, bo przyszła synowa odznaczała się nietylko rodem i majątkiem, ale i pięknem wszechstronnem wykształceniem. Nikt nie zdoła opisać, co się działo w mem sercu. Ileż potrzeba było siły i przytomności umysłu, ażeby nie upaść w téj chwili pod takim ciosem. Zdobyłam się wreszcie na pytanie: „A pan Karol, czy kocha tę panią?“ „Watpię nawet, czy ją zna“, odrzekła pani Orzęcka, mówią powszechnie, że jest bardzo piękna i uprzejma. Na wybór ten nie powinienby sie właściwie użalać.“ „O jeżeli pani jesteś przekonaną w duszy o trwałości szczęścia, jakie mu przyszła narzeczona zgotować może, to i czemużby miał się wachać pan Karol“ rzekłam pospiesznie.

Pani Orzęcka zgodziła się na moje zdanie, dodając że i Karol bądź co bądź zgodzić się musi na te propozycję, ja zaś pobiegłam do mego pokoju, szukając ulgi w gorzkich łzach. W kilka tygodni po téj rozmowie przyjechał Karol. Postanowiłam unikać go jeszcze bardziéj. W chwili kiedy zajeżdżał przededwór wybiegłam drugiemi drzwiami do ogrodu, sądząc że tam może prędzéj uwolnię się od ciężkich myśli i zmartwienia, i odzyskam co najmniéj przytomność umysłu, ażeby go powitać z tym pewniejszym spokojem. Ale zaledwie spoczęłam na chwilę w cieniu brzozy, któréj długie sploty przysłaniały nizką kamienną ławeczkę, gdy naraz lekki szmer kroków ludzkich doszedł do mych uszu. Chciałam powstać i oddalić się, lecz on stał już przedemną... on, którego tak unikałam, pomimo że jakaś siła tajemnicza ciągnęła mnie ku niemu. Nie zdołałam ujść ani kroku naprzód. Zamilkłam, oddech zastygł mi w piersiach, stałam nieruchoma, bez sił, bez władzy... „Tereso! odezwał się, ujmując mnie za rękę którą mu wyrwać usiłowałam; Tereso! tu! sama! a nie na powitaniu Karola? Pani mnie unikasz, o czemu, czemuż mnie tak dręczysz? czyż kiedykolwiek zasłużyłem na to? Tereso powiedz, powiedz mi teraz, w téj chwili, albo już nigdy, czy mnie chcesz uszczęśliwić, czy kochasz, czy pragniesz mego szczęścia?“ „A pańska narzeczona?“ zapytałam z cicha i dreszcz lodowy przebiegł mnie całą na to wspomnienie. „Nie — nigdy, przenigdy niedam się nakłonić do tych związków!“ zawołał z gwałtownem uniesieniem. „Czy wiesz“ mówił daléj, zaledwiem się przywitał z matką, pierwsze jéj słowo dotyczyło owéj narzeczonéj. Odpowiedziałem stanowczo, że na ten plan zgodzić się nie mogę. Narzeczonéj nie widziałem prawie wcale, mówiono mi, że przystojna, zamożna, młoda, wykształcona. Lecz cóż! ona nigdy moją nie będzie! A kiedy mi matka odpowiedziała, że i ty pani podzielasz

iéj zdanie, żeś ją nawet radami poparła, to widziałem w tem tylko rozpacz twego złamanego serca, okrzyk bólu kobiety stojącéj nad grobem zgruchotanych nadziei! I kiedy matka coraz usilniéj na mnie nalegała, wyznałem jéj wszystko — wyznałem, że inną pokochałem... istotę godniejszą mojéj miłości i nazwałem imię pani! Zdumiała się matka, lecz wkrótce podała mi z czułością rękę, przycisnęła do siebie, ucałowała w czoło i rzekła z słodyczą: Postępuj wedle własnéj woli, nie krępuję cię moje dziecko w niczem — idź za popędem serca, a wiem że ono szlachetne — rozumne — nie potrzebujesz bynajmniéj wstydzić się twego wyboru! Wybiegłem odszukać cię Tereso, i nie pytam już, czy chcesz być moją? bo wiem, że mnie kochasz!“ Nie pomnę co się działo w méj duszy, kiedyśmy oboje stanęli przed matką i kiedy nam błogosławiła — tego słowami wypowiedzieć nie zdołam. Uśmiechało mi się najwyższe szczęście; w kilka bowiem tygodni odbył się ślub mój z Karolem. A jednak, jakieś złowrogie przeczucia miotały mną ustawicznie. Niestety przeczucia te doznane w chwili samego błogosławieństwa przyszłéj méj matki, spełniły się na mnie.

V.

Teresa nie mogła mówić daléj; urwała na chwilę i odwróciła się ukrywając łzy przed Gabrjelą!

Ochłonąwszy nieco, ciągnęła przerywanym głosem:

— Karol wyjechał na kilka tygodni do Krakowa w celu uregulowania stosunków gospodarczych. Słodka nadzieja uśmiechała mi się w najlepsze — odetchnęłam cokolwiek, uspokojona i wzmocniona miłością przyszłéj méj matki. W kilka dni potem przybył do nas jakiś pan, o którym wiedziałam tyle tylko, że jest przyjacielem pani Orzęckiéj i Karola. Pani Orzęckiéj nie było w domu, wyjechała była w sąsiedztwo; zostałam się sama z uczenńicami. Obcy pan życzył sobie pomówić ze mną. Jego powaga i zakłopotany wyraz twarzy przeraziły mnie mimowolnie, a kiedy jeszcze głębokim przytłumionym głosem odezwał się, prosząc bym go słuchała z spokojem, uczułam straszną trwogę; śmiertelny dreszcz ścisnął mi serce, a wzrok palący zawisł na jego tajemniczych ustach. „Mam ważne zlecenie do pani, mówił nieznajomy; zamierzałem początkowo rozmówić się nasamprzód z panią, gdyż jako młoda, silniejsza osoba, masz niewątpliwie więcéj mocy ducha, nieobecność pani Orzęckiéj jest prawdziwem zrządzeniem Boga!“ „Na Boga, mów pan... cóż się stało!“ zawołałam przerażona. „Słuchaj mnie pani z spokojem, rzekł głosem tkliwego współczucia; pani zrozumiesz to bardzo dobrze, że owa rodzina, któréj córka miała zostać narzeczoną Karola, uczuła się mocno dotkniętą odmownym krokiem, tembardziéj że córka ich wskutek tego ciężkiéj uległa chorobie. Rodzice wywieźli ją z sobą po kilku tygodniach za granicę, dla zapobieżenia dalszym skutkom tego nieszczęścia. Atoli brat zawiedzionéj, człowiek gorączkowy, postanowił pomścić się na Karolu. Nic nie pomogły perswazje rodziców i przyjaciół. Zażądał od Karola zadosyć uczynienia. Karol jak zawsze człowiek taktu i rozumu usiłował listownie poznajomić gorączkowego przeciwnika z całym przebiegiem zarzucanéj mu winy. Ale daremnie! Młody zapaleniec uparł się przy swojem, dorzucając do dawnych obelg coraz nowsze i dotkliwsze, Karol nie zdołał się oprzeć. Wczoraj odbył się pojedynek, Karol miał pierwszy strzał... chybił, widocznie z namysłu. Przeciwnik, zapalony lekceważeniem, podszedł do mety... Karol padł ciężko raniony na ziemię“. „Raniony? o, więcéj... pan mnie łudzisz, nie chcesz mnie zabić! ach, mąż mój nie żyje! powiedz, nie żyje!“ wołałam pochwytując go rozpaczliwie za rękę. „Nie pytaj mnie pani! tak, Karol nie żyje! Twoje imię było ostatnim jego wyrazem!“ Upadłam bezsilna, w tem drzwi się otworzyły, matka Karola weszła do pokoju. Chciałam powstać, wybiedz ku niéj, lecz nie mogłam. Biedna matka przeczuła nieszczęście z mych słów rzucanych bezładnie. Rozpaczliwy jéj krzyk dobił mnie do reszty — straciłam przytomność i na wpół martwą przeniesiono mnie do mego pokoju. Odzyskawszy przytomność zapytałam o panią Orzęcką. Powiedziano mi, że i ją ta wiadomość złożyła na łoże i że w niebezpiecznéj znajduje się gorączce. Zebrałam wszystkie siły i zeszłam do niéj. Znalazłam ją... dogorywającą! Gwałtowna apopleksja przerwała wątek życia téj szlachetnéj kobiety! Ale do ciosów tak bolesnego osamotnienia przybyły nowe, dotkliwsze stokroć od wszystkiego tego, czegom tylko dotąd doznała. Otóż nieledwie w trzy dni po śmierci matki Karola zjechała się cała familja Orzęckich w celu narady, co począć z pozostałym majątkiem. Stanęło na tem, że córki Orzęckiéj zabrano ze sobą — a co do mnie... ach Gabrjelo! nieszczęsna ta familja podejrzywając mnie już oddawna o chytre zamiary względem majątku Karola i obwiniwszy mnie nadto o rozmyślne knowania względem majątkowego działu pozostałych siostr Karola, unieważniła drogą sądu ślub mój z Karolem! Wydziedziczona z wszystkiego, spotwarzona publicznem ogłoszeniem familji o unieważnieniu mego ślubu, postanowiłam a raczéj byłam zmuszoną opuścić to miejsce, gdzie tyle gorzkich klęsk spadło na moje serce. Tak więc po trzeci raz zostałam sierotą! W kilka dni po téj strasznéj katastrofie wyjechałam z tego zakątka, udając się do Krakowa, na grób mojego męża. O! ileż tam modlitw i nieutulonego żalu spłynęło z mych piersi ku niebu! Nie mając na początek dostatecznych środków utrzymania, zaczęłam udzielać lekcje w muzyce i naukach. Żyłam blizko dwa miesiące w Krakowie. Od czasu do czasu odbierałam listy od siostr Karola, zaklinających mnie na wszystko, ażebym się uspokoiła i ufała w Bogu, że się złamie przecież upór familji. W Krakowie dłużéj pozostać nie mogłam. Wyjechałam ztamtąd, udając się w strony, gdzie mnie nikt nie znał. Zamieszkałam w małéj wiosce w pobliżu Nicy. Odnajęłam od wdowy wieśniaczki skromne mieszkanko z zamiarem pozostania tamże przez dłuższy czas. I niedługo też, prześliczne dziecię z okiem, wyrazem i rysami ojca spoczęło u méj piersi. Zapomniałam o wszystkich moich cierpieniach! Widok dziecięcia nie pozwalał mi nawet pomyśleć o przyszłości. Lecz nie długo napawałam się moim aniołkiem. Zaszedł wypadek, który mnie oderwał od niego... na szczęście ku mojemu własnemu dobru. W kilka bowiem tygodni zajechał przed nasz domek jakiś nieznajomy. Moja gospodyni powiedziała mu, że nie przyjmuję nikogo. Lecz nieznajomy kazał oświadczyć, że jest

jednym z przyjaciół mego męża. Nie mogłam pojąć, ktoby to mógł być. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedym naraz obcego, całkiem mi nieznajomego spostrzegła mężczyznę. Pierwsze jego słowa i cała w ogóle powierzchowność obudziły we mnie pewne zaufanie ku niemu. Popatrzywszy się na mnie z wyrazem serdecznego współczucia, odezwał się w następujących słowach: „Już od dość dawna robiłem wszelkie możliwe starania, ażeby się dowiedzieć o miejscu pobytu téj pani, która przed sześciu miesiącami opuściła bez śladu Kraków. Poszukiwania moje w tem mieście spełzy na niczem. Szczęśliwym wypadkiem dowiedziałem się o kierunku, w jakim wyjechała z Krakowa. Dalsze poszukiwania sprowadziły mnie nareszcie aż tu — i nie wątpię, że w pani, odnalazłem poszukiwaną przezemnie osobę Teresę Orzecką.“ „Pan się mylisz niewątpliwie — nie mam szczęścia znać go bliżéj“ odpowiedziałam stanowczo. „Ale ja panią znam, przynajmniéj z nazwiska, i ażebyś pani wiedziała co mnie tu sprowadza, powiem jéj, że jestem jéj dłużnikiem.“ „Daruj pan, nie rozumiem go wcale!“ „Pani mnie zrozumiesz, rzekł z naciskiem i powagą, skoro jéj oświadczę, że jestem stryjem owego nieszczęśliwego młodego człowieka, z którego ręki zginął mąż pani.“ Okrzyk boleści wyrwał się z mych piersi. „Szalony ten młokos pogrążył panią w niesłychane nieszczęście, moją więc świętą powinnością jest starać się ile możności ulżyć pani w tem smutnem położeniu, powiedz mi pani i cóż mam dla niéj uczynić?“ „Nic, nic— zawołałam; mojego Karola nikt mi nie zwróci!“ Nieznajomy zamilkł na chwilę, poczem uchwycił za rękę i rzekł tonem rzewnego współczucia: „Pani Tereso, prosiłem cię o zaufanie! Czemuż się opierasz? Pani, wiem że potrzeba ci koniecznie opieki. Mówmy więc szczerze i otwarcie, i radźmy co czynić daléj. Do kraju powrócićbyś pani nie chciała, wiem o tem, ale pomódz trzeba ci koniecznie. Pragnę z duszy ulżyć ci we wszystkiem, lecz proszę zarazem o jedną przysługę, od ziszczenia któréj zależy szczęście mojéj rodziny.“ „O jeżeli tylko o taką przysługę chodzi, znajdziesz pan we mnie pomoc lub radę, o ile ją w ogóle słaba kobieta dać może.“„ A jeżeliby tu o ofiarę; niesłychanie wielką ofiarę chodzić miało?“ zagadnął nieznajomy.“ Ależ nie rozumiem pana,“ odpowiedziałam zdumiona. „O, i mnie niebo dotknęło boleśnie, mówił daléj; żona moja leży na łożu śmiertelnem w Nicy. Przyjście na świat dziecka złożyło ją na łoże boleści; niestety dziecko to, druga moja córka, umarło w kilkanaście dni, ale o tem później. Proponuję pani piękne i przyzwoite miejsce. Jedna z moich kuzynek udaje się na niejakiś czas do Neapolu; czy więc nie zechciałabyś pani towarzyszyć jéj w podróży, zwłaszcza że twój charakter, wykształcenie, twoje serce, odpowiedzą wszelkim możliwym warunkom tego towarzystwa.“ „Ależ moje dziecko! moje dziecko, cóż się z niem stanie?“ zapytałam na wpół przerażona. „Słuchaj mnie pani spokojnie. Wspomniałem przed chwilą o niebezpiecznéj chorobie méj żony. Jeżeli ona się dowie o śmierci dziecka, to zgubiona! Ona nie przeżyje tego ciosu. W twéj mocy, droga pani, spoczywa jedyny ratunek dla mojéj żony. Pani, oddaj mi twoją córkę, przysięgam ci na Boga, że nikt się o tem nie dowie, a twoje dziecko znajdzie we mnie ojca i matkę, będę je kochał jak moje własne, jak anioła, co méj żonie życie ocali. Pani, nie odmawiaj mi téj ofiary, błogosławieństwo niebios spłynie na ciebie i twoje dziecię.“ „Mam-że oddać panu moje dziecko, jedyną pociechę, jedyną słodycz, jedyny mój skarb! Mam je sprzedać, o zgrozo, za odrobinę szczęścia, za obietnicę, za chwilowe wygody lub rozkosze? A czy też pan wiesz, czego żądasz po mnie? wiesz pan, co to jest serce matki? O i dzikie zwierzę, i najnędzniejsze stworzenie kocha swe dzieci i życie za nie oddaje, a ja miałażbym! Nie, nigdy! Gdzież moje dziecko, nie, córki mojéj nie puszczę od siebie — nie, za nic w świecie!“ Wybiegłam do drugiéj izdebki, porwałam dziecko z kołyski i wróciwszy z niem do nieznajomego, rzekłam na wpół z radością i rozpaczą: „Patrz pan, spojrzyj się na tego aniołka, jak w swéj niewinności uśmiecha się do nas, jak błyska oczkami, o powiedz, gdzież twoje serce?“ Nieznajomy zdawał się być zgruchotanym. „Wiem, czego żądam i czuję ogrom téj ofiary, bo sam jestem ojcem! Boże, cóż się stanie z biedną moją żoną? Stracona, jeżeli dziecka przy życiu nie zastanie! O, tak samo uśmiechała się i moja dziecina, kiedy mi je żona na ręce złożyła. I utraciłem dziecię, utracę i żonę, Boże, i cóż mnie tak doświadczasz? Strapienie nieszczęśliwego ojca ubodło mnie głęboko. Lecz on upamiętał się nieco i po krótkiéj chwili odezwał się na nowo: „Nie chcę bynajmniéj naglić pani do téj ciężkiéj ofiary, ale mnie nie zapoznawaj. Nie myśl, że groszem Judasza chciałbym cię dziecka pozbawiać, nigdy, przenigdy! Rozpacz ojca i męża popchnęły mnie do tego. Nie sądź pani, że chciałbym cię opuścić, nie zapewniwszy ci wprzódy ojcowskiéj opieki z méj strony, chociażbyś nawet nie chciała nachylić się do mojéj prośby! Jutro powrócę do pani, i pomówimy szczerze o przyszłości dla ciebie.“ I chwiejąc się cały, pożegnał mnie z zapewnieniem, że nazajutrz powróci. Dzień ten spędziłam w bolesnych i rozpaczliwych myślach. Postać nieszczęśliwego ojca stała mi ciągle przed oczami. Wyrazy: „życie mojéi żony spoczywa w twem ręku.“ zaległy mi ciężarem na sercu. Wydawało mi się, że przyszłość mego dziecka jako przybranéj córki tego szlachetnego człowieka, mogłaby może być szczęśliwą, bo jakąż mogłam mu dać przyszłość, chyba życie pełne nędzy i nieopisanego sieroctwa! Zaczęłam patrzeć na to wszystko z zimniejszą krwią; pierwsze gwałtowne wzburzenie minęło. „Czemże jest właściwie miłość matki, jakie jéj powinności? pomyślałam sobie. Można-ż to nazwać miłością matki, jeżeli myśli tylko o rozkoszy, jakiéj doznaje na widok ulubionego dziecięcia? Nie powinna-ż matka dbać raczéj o to, ażeby dziecko było ile możności jak najszczęśliwsze? A samo przeznaczenie kobiety, nie jest-że życiem cichego ofiarnictwa dla dobra drugich, mniéj szczęśliwych od siebie? I w razie tym, oddając dziecko pod opiekę najszlachetniejszego z ludzi, mogłabym wybawić od śmierci żonę i matkę zarazem!“

(d. c. n.)
